

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędna  
**KAWIARNIA J. BISANZA**  
 w Krakowie, przv ul. Dunajewskiego 1. parter

## Kronika tygodniowa.

Nie gniewaj się luby Czytelniku i ty, nadobna Czytelniczko, że w poprzednim numerze *Nowości illustrowanych* nie było kroniki tygodniowej, gdyż winy nie ponosi ani zawsze chętny do usług kronikarz, ani też Redakcja, lecz jedynie fatalny zbieg okoliczności, co zresztą każdy, przeczytawszy kronikę do końca, z pewnością przyzna i będzie nas uważał za wytłumaczonych.

Otóż przede wszystkim stanęła na przeszkodzie wprowadzona od 1 lipca nowa zreformowana opłata akcyzowa od rozmaitych artykułów spożywczych, znosząca podatek od przywożonego do Krakowa masła, sera i t. d. podwyższająca zaś taryfę w niektórych pozycjach n. p. przy opłacie od gęsi. Przyznać się muszę, że jako człowiek starej daty używam do dnia dzisiejszego gęsich piór, które sam sobie temperuję, bo do stalowych dziennikarskich oręży, (z wyjątkiem naturalnie tradycyjnych noży-czek), jakoś dotąd nie nabrałem zaufania. Z tego powodu, co kilka tygodni wybieram się na targ i tu zakupuję niewinne obronicielki Kapitolu, które remi potem wraz z władzą domową dzielę się po bratersku. Ja zabieram pióra, reszta idzie do kuchni.

Tymczasem w ubiegłym tygodniu, dzięki właśnie owej nowej, podwyższonej opłacie akcyzowej i ogólnej zresztą drożyznie i goliźnie, ceny gęsi tak nagle podskoczyły w górę, że na zakupno bodaj jednego, jedynego i to do tego tak chudego, jak przemysł galicyjski egzemplarza, mógł sobie pozwolić chyba jakiś Rotszylld lub inny milioner.

No! gdyby to tylko gęsi podrożały, podrożał nawet i atrament, wobec tego każdy łatwo zrozumie, że w tych warunkach ani myśli, by się móżdż zabrać do tak ważnego referatu, jakim jest kronika tygodniowa, mająca być najpierw odbiciem tego, co się przez siedm dni stało w rozszerzonym Krakowie, skurczonej naszej Ojczyźnie i wogóle w całym c. k. świecie.

Wytłumaczyłem, sądząc, zupełnie jasno, iż nie było czem pisać, gorzej jeszcze, że nie było i o czem! Mam zwyczaj (sądzę, że się ta wiadomość przyda i mojemu przyszłemu biografowi) codziennie popołudniu, gdy mi żeńska i nijaka część domowego inwentarza da się już swem trajkotaniem porządnie we znaki, udawać się do kawiarni na „czarną“ lub „kapucyną“. Tutaj pogadam sobie z tym, lub owym, dowiem się czegoś, a ponadto wyczytam wszelkie najświeższe wiadomości, które potem mogę zużytkować w kronice tygodniowej. W tym celu, układając co miesiąca budżet wydatków domowych, przeznaczam z góry na ten cel pewną kwotę, która nie może być z reguły przekroczoną, aby nie zepsuć budżetowej równowagi.

Tymczasem znów stanęli mi na przeszkodzie panowie kawiarze, którzy zwołali walne zgromadzenie i uchwalili jednogłośnie, że nie mogą absolutnie pozostać w tyle i z powodu podrożenia cykoryi... *pardon* kawy i cukru, podnoszą też ceny w swych lokalach. Ponieważ stało się to w środku miesiąca, musiałem na razie dać sobie spokój z odwiedzinami kawiarni, chodząc tam tylko co niedzielę i *eo ipso* nie mogąc w tym jednym dniu rozglądać się tak dokładnie po politycznym horyzoncie, jak to miało miejsce wówczas, gdy bieg wypadków śledziłem codziennie. Po pierwszym, jeśli uda mi się wykołatać u najwyższej władzy domowej jakowyś dodatek drożyzniany, powrócę do zwykłego trybu życia, czyli innemi mówiąc słowy, poprawię się z gruntu. To tylko bieda, że o ten dodatek starania będą dość przykre i ciężkie, choćbym bowiem zagroził nawet biernym oporem na wypadek nie uwzględnienia mych postulatów, spotkam się co najwyżej z pogardliwym uśmiechem mojej tak zwanej lepszej połowy.

Zdaje mi się, że wytłumaczyłem się należycie i każdy przyzna, iż wina leży nie po mojej stronie, ale trzeba ją przypisać ogólnej drożyznie, w pierwszym rzędzie gęsi i atramentu, w drugim kawy i cukru.

Ponieważ zawadziłem wyżej o bierny opór, który zwłaszcza na kolei i poczcie jest bardzo skuteczną bronią przy walczeniu o poprawę bytu, w domu natomiast nie na wiele się przydaje, boć człek prze-

cież i bez niego, robi tylko tyle, ile musi, warto wspomnieć, że właśnie stoimy wobec takiego i strejku i biernego oporu, którym grożą przede wszystkim kolejarze, a z nimi solidaryzuje się i poczta. Starając się o polepszenie bytu w tak ciężkich, jak obecne warunkach materyalnych, spotkali się z zapewnieniem kierownika ministerstwa kolejowego, iż decydujące sfery nie mają nic przeciw podwyższeniu płac i przyznaniu dodatku drożyznianego, chodzi jednak o to, aby wynaleźć na ten cel nowe źródła dochodu, czyli innemi znów mówiąc słowy, nowe podatki, które mogłyby zasilić kasy państwowe. Ponieważ zaś wiadomą jest powszechnie rzeczą, że każdy nowy podatek pociąga za sobą i zwiększenie się drożyzny, można się spodziewać, że równocześnie podskoczą znowu ceny wszelkich artykułów zwłaszcza spożywczych, wyśrubowane już i tak do niemożliwości, a cała akcja przeciwdrożyzniana ogranicza się na obietnicach, że jak się da, to się zrobi, a z reguły się to wszystko nie udaje.

Na początek października obiecują nam wobec tego strejk ogólny, a po nim bierny opór, który kto wie, czy nie jest jeszcze gorszym od strejku, gdy tamten bowiem trwa krótko, opór może się przeciągać i tygodniami, wyrządzając ludności, handlowi i przemysłowi straty wprost nieobliczalne i przyczyniając się znowu do zwiększenia drożyzny.

Zyjemy więc ciągle w błędnym kole, z którego ani rusz się wydobyć, w którą zwrócisz się stronę, wszystko kończy się jedną i tą samą śpiewką, jest źle, będzie jeszcze gorzej! Pan minister skarbu, widząc chroniczne braki w skarbcu (do których zresztą mógł się już przyzwyczaić), powinien rozglądać się za jakimiś środkami zaradczymi, któreby wreszcie dopomogły w owej suchotniczej vegetacji. Sądziłbym, że mógłby skorzystać z dobrego przykładu naszych towarzystw dobroczynnych i humanitarnych i urządzić pewnego dnia w całej Austrii publiczną kwestę, która niezawodnie przyniosłaby odpowiedni dochód. Mamy obecnie jesień, możnaby tę uroczystość, nazwać n. p. dniem „rydza“, broń jednak Boże „figi“, boć *nomen to omen!*

A pieniędzy skarbcu państwowemu potrzeba tem bardziej, że ma się do czynienia nie tylko z urzędnikami, dopominającymi się o poprawę bytu, ale też i z wojskiem, które jest obecnie tym molochem, pożerającym wszystko z bajecznym apetytem, a nie narzekającym nigdy na niestrawność. Urzędnikom trochę się obieca, trochę wytarguje, resztę zaś da i są zadowoleni, pan minister wojny jeśli postawi żądanie, to odeń nie odstąpi ani na jotę, gdyż jak zwykle powiada, wymaga tego powaga monarchii i jej mocarstwowe stanowisko.

A właśnie w ubiegłym tygodniu ustąpił minister wojny Schönaich, który liczył się jeszcze z ogólną nędzą i nie bardzo następował na pięty ministrowi skarbu, następcę jego poprzedziła już wieść, że będzie się domagać jednorazowo tylko o trzysta milionów na cele wojskowe, a potem w każdym roku o sto milionów więcej, niż obecnie. Jeśli parlament poweźmie odpowiednią uchwałę i da swoje *placet*, nie chciałbym być ani we fraku, ani w skórze ministra finansów, bo łatwo obiecać, ale skąd wziąć, gdy wszystkie źródła już wyschły, niczem ubiegłego roku wodociągowe na Bielanych! I nie dziwiłbym się, gdybyśmy pewnego pięknego poranku wyczytali w gazecie, że „Jego Ekscellencya pan minister X. w przystępie czarnej melancholii targnął się na swe życie i powiesił na złotym sznurku“.

Jeśli takie kłopoty mają złotokolnierzowcy, cóż dopiero mówić o nas, zwykłych śmiertelnikach, których stać zaledwie na jakiś marny kolnierzyk płócienny! Zyjemy w ciągłej obawie głodowej śmierci, która grozi nam łąda dzień, wszystko tak podrożało, że jeden ziemniak kosztuje około trzy halerze, a mięso oglądają szczęśliwcy raz na tydzień! W sklepach masarskich pustki, przed oknami zaś wystawowymi ścisk niebawym, każdy chce się nasycić bodaj widokiem apetycznych kielbas, szynki i kiszek, bo na zakupno go nie stać, zwłaszcza, że nawet Bank austro-węgierski podniósł stopę procentową, czem przyczynił się bardzo wydatnie do pogorszenia sytuacji.

Bo proszę sobie wyobrazić, czy to doprawdy nie przypomina sceny z jakiejś operetki, że galicyjskie woły (proszę, aby panowie posłowie nie myśleli, że ich mam na myśli!) takie zwyczajne, czworonożne, jadą sobie spokojnie do Wiednia, po to jedynie, aby tam zakupili je galicyjscy rzeźnicy i przywieźli z powrotem nad Wisłę i Pełtew, naturalnie po cenach o 50 proc. wyższych. Potem dopiero urządza się na targowicy licytację, który ze szczęśliwców ma takiego Apisa odprowadzić do rzeźni. I jak się tu potem dziwić, że wobec takiej gospodarki ceny z dnia na dzień rosną, a widmo głodowej śmierci zbliża się coraz bardziej.

Mieliśmy tego roku piękne urodzaje, zboże jednak jest droższe, niż po inne lata, brakło paszy a rolnik za bezcen wysprzedaje bydło, mięso jednak drożeje z każdym dniem, a befsztyk lub rozbratel stanowią coś, o czem tylko można marzyć, rzadko to jednak osiągnąć. Na tłumy Krakowian działają wobec tego drażniąco *menu* miejscowych restauracji, ogłaszane publicznie w pismach, że dziś jest zupa rakowa, nureczki na maderze, pularda w potrawce, rolad biszkoptowy i t. d., co powinno być stanowczo zakazaniem z urzędu, może się bowiem przyczynić do wywołania groźnych rozruchów głodowych wśród tych, których nie stać na podobne smakołyki, a takich jest w rozszerzonym Krakowie około 149 tysięcy. Mają oni rozszerzony Kraków, ale zato skurczony żołądek!

Gdyby to choć piwo było jeśli już nie potaniało, to przynajmniej pozostało w dawnej cenie, miałby człek przynajmniej w czem utopić robaka, który go gryzie! Tymczasem panowie piwowarzy zawiązali kartel i podnieśli ceny na hektolitrze piwa beczkowego o 2 korony 60 halerzy, flaszkowego zaś aż o cztery korony i obiecują jeszcze, że na tem nie koniec. Za nimi idą wódczarze, miodziarze i winiarze i samochcąc wpędzają nas w ramiona Eleuteryi!

Dla kompletu trzeba by jeszcze cholery lub dżumy miałby przynajmniej człowiek tę pewność, że przeszedłszy za życia czyściec najrozmaitszych cierpień, bodaj po skończeniu doczesnej pielgrzymki cieszyć się będzie wiekiściami szczęśliwością, gdzie serca jego nie będzie razić swym widokiem ani rzeźnik, ani piekarz, ani szynkarz, ani inny upasiony krwawicą naszą „przemysłowiec“, gdzie niema ani urzędów podatkowych, ani egzekutorów, gdzie jest ciepło i bez palenia w piecu, a chodzić można ubranym jeno w listek figowy, który jak wiadomo kosztuje mniej niż najpodlejszego rodzaju marynarka lub żakiet.

To jedno bieda, że w niebie brak kabaretów, a to źle świadczy o inteligencji tamtejszych mieszkańców, jak to zresztą bardzo słusznie zaznaczył pan Kl. w „Słowie Polskim“, narzekając na Krakowian, że nie spieszyli tak do jego „Ula“ jak on tego pragnął.

Poprawimy się i my, byle tylko stosunki się poprawiły, trudno przecież gonić po kabaretach, gdy w kieszeni pustki!

**DOSTAWCA DLA ZWIĄZKU LEKARZY**  
**B. WIERZEJSKI, KRAKÓW, RYNEK**  
 róg ul. Floryańskiej.  
 Telefon Nr. 0368.

Poleca już nadeszłe:  
**ANGIELSKIE PŁASZCZKI JESIENNE i ZIMOWE.**  
**KURTKI do polowania. — CZAPKI i KAPELUSZE**  
 sportowe. — **OBUIE AMERYKANSKIE. — GUMOWE**  
 okrycia nieprzemakalne.

## Skating Rink „Wrotnisko“

w Krakowie — Rajska 12.

Codziennie dwa Seanse sportowe; rano od godz. 10—1, popoł. od godz. 4—11 wieczór przy stałej muzyce. — Popis wyższej jazdy na wrotkach Mr. Hartley'a z Ameryki. — Bufet na miejscu.

## Zmiana właściciela firmy „H. Schwarz“.

W kraju i zagranicą zaszczytnie znaną jest krakowska firma H. Schwarz, magazyn strojów damskich, która — założona w r. 1836 — przez 75 lat swego istnienia, zaskarbiła sobie niepodzielne uznanie publiczności. Obecnie po śmierci dotychczasowego właściciela, radcy cesarskiego Henryka Schwarza, objął firmę syn ś. p. zmarłego, p. Leon Schwarz, dotychczasowy kierownik firmy, który, nabywszy cennych doświadczeń w pierwszorzędnych magazynach zagranicznych, zaprowadził cały szereg nowoczesnych ulepszeń, mających na celu dobro klienteli. Wreszcie zaznaczyć wypada, że firma ta, z dziada pradziada polska, tradycyjnie przechodzi z ojca na syna tak, że obecnie, licząc od założyciela firmy Alojzego Schwarza, należy już w trzecim pokoleniu do rodziny Schwarzów, chlubnie zapisanej w dziejach miasta i kronikach kupieckiego patrycyatu krakowskiego.

Darmo otrzyma każdy na żądanie bogato ilustrowany katalog główny z około 4000 rycin firmy c. i k. nadworny dostawca **Hanns Konrad**, dom wysyłkowy w Brüx Nr. 2903 (Czechy), który zawiera wielki wybór artykułów użytkowych i podarunków każdego rodzaju, w którym każdy coś odpowiedniego znajdzie.